

Spotkanie z przeszłością

Był wyjątkowo paskudnie mokry i chłodny wieczór lipcowy, jakiego od dawna w tych stronach o tej porze roku nie było. Już od dłuższego czasu zanosilo się na coś więcej niż tylko zwykły deszcz – i tak też się stało.

„To tak zwyczajnie nie przejdzie” – pomyślał porucznik i w tym samym momencie zadzwonił telefon, jakby myśl porucznika była z nim sprzężona jakimś niewidzialnym łączem. Podczas rozmowy jego twarz zmieniała się: najpierw przemknęło po niej niezadowolenie, znajdując ujście w kilku wulgarnych epitetach pod nieznanym adresem, co przyniosło mu chwilową ulgę, następnie osiadło na niej na dłużej znużenie, aż ostatecznie pojawiło się rozczarowanie. Gdy skończył rozmawiać, odłożył słuchawkę i powiedział do nikogo i niczego, albo i do siebie, bo w pomieszczeniu był tylko on:

– Nawet psa bym nie wygonił na taką pogodę, a tu samemu trzeba... – Założył ręce za głowę i przeciągnął się. Z jego ust wyleciało: – By to szlag trafił! Kiedy to się wreszcie skończy? Leje, jakby się wszystkim aniołom na komendę pęcherze popsuly. – Wstał, zdjął z wieszaka nieprzemakalny płaszcz i pogodzony z losem, wyszedł w mokrą ciemność wieczoru.

Na miejscu wypadku był po paru minutach. Protokół, który z niego sporządził, brzmiał: „Dnia 14.07.1960 roku około godz. 21. minut 40, niedaleko miasta Giga, na drodze nr 71, jadący samochodem marki *toyota corolla* Jesus Mario Salinas, lat 37, w wyniku rozwinięcia nadmiernej prędkości wpadł w poślizg. Następnie stracił panowanie nad kierownicą, co w konsekwencji doprowadziło do wypadku i

śmierci kierowcy...” Tyle najistotniejsza część protokołu. Lecz zanim do niego doszło...

xxx

– Posłuchaj – powiedziała, już teraz spokojna i opanowana, a jej twarz na powrót przybrała wyraz skupienia i niewytłumaczalnego dystansu do tego, co chciała powiedzieć. – Pewne rzeczy mają swoje granice, które nie powinny być nigdy i nigdzie przez nas – ludzi, przekraczane. To, że człowiek z natury jest przekorny i dumny z samego faktu bycia nim, nie powinno być żadną zaporą dla okazania własnej słabości i przyznania się do swoich błędów. Do niechlubnych czynów zresztą również. Dlatego proszę cię raz jeszcze – powiedz mi prawdę. Może gdy ją poznam, zrozumieć twoje postępowanie i twoje decyzje. Na razie jest to ponad moje siły.

W pomieszczeniu zapanowała cisza. Zdawał się nie tylko nie słyszeć tej, która do niego mówiła, ale również i nie widzieć. Myślni był gdzieś daleko stąd. Nikt nigdy go nie rozumiał, nawet ona – ta najbliższa mu istota, więc nie odczuwał z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. Wiedział, że jest już za późno na jakiegokolwiek tłumaczenie, usprawiedliwienie się. Zresztą, nie miał na to ochoty – nie czuł się jakoś szczególnie winny. Poza tym najzwyczajniej w świecie szkoda mu było na to czasu, który, mimo tak młodego wieku, bardzo cenił. Dlatego, jeżeli tylko mógł, starał się bezmyślnie go nie marnować. Po prostu znał jego wartość. Teraz też chciał zakończyć to spotkanie jak najszybciej, żeby ocalić go dla siebie jak najwięcej. Czuł, że tutaj, w tym miejscu, niepotrzebnie go marnuje.

– Tak naprawdę – zaczął po dłuższej chwili – to nigdy mnie nie rozumiałaś. Nie wiem, czy nie chciałaś, czy też nie potrafiłaś, dzisiaj zresztą to już nieważne. Natomiast cała reszta, to było tylko dobre udawanie, o czym tak samo dobrze wiesz, jak i ja. Ale wiedz, że wcale się temu nie dziwię. Tak jak wiele zwierząt można nauczyć mnóstwa rzeczy, bez potrzeby rozumienia tego czego się od nich wymaga, tak i kobieta potrafi przystosować się do mężczyzny...

Odwróciła się od okna.

– Jak chcesz, potrafisz być przykry i nieprzyjemny – powiedziała. – A ja tak bardzo się starałam, tak bardzo. Czy moją winą jest to, że... że jesteś i... że cię kocham? – Rozplakała się. Wyglądała teraz jeszcze starzej z uwidaczniającymi się bezlitośnie od płaczu zmarszczkami, po których spływały równomiernie krople łez, a których on starał się nie dostrzegać: łzy zawsze wyprowadzały go z równowagi. Były bowiem przez nią używane jako argument, mający go zmiękczyć w takich sytuacjach jak ta.

– Nie, to staje się nie do wytrzymania! – wybuchnął. – To wszystko nie ma sensu. Ja już się nie zmienię, a ty straciłaś swoją szansę i chyba to rozumiesz. Wczoraj, gdy byłem młodszy, mogłaś coś jeszcze we mnie zmienić, gdybyś tylko chciała i wiedziała jak. Lecz dzisiaj pozostały ci jedynie puste słowa i łzy, które i tak niczego nie zmieniają – są spóźnione i trafiły pod niewłaściwy adres. – Przeniósł wzrok z jej twarzy na okno, za którym księżyc rozpoczynał swoją odwieczną wędrówkę w ciemność nocy i gdzie słychać było coraz głośniejszy płacz nieba. Po chwili ponownie odezwała się ona:

– To wszystko prze ten wiek – za duża różnica lat, inne pokolenie... – Spojrzała na niego i w tym samym momencie napotkała jego wzrok pełen napiętego wyczekiwania. – Gdybyś jednak choć raz wysilił się i spróbował mnie zrozumieć, może wtedy...

Przerwał jej:

– Do diabła z całą tą twoją opieką i troską o mnie! Czy ty nie widzisz, że ja tak dalej nie mogę. Rzygać mi się chce na to wszystko! Może kiedyś cię kochałem, może. Lecz dzisiaj mogę powiedzieć, że tak cię miłuję jak siebie samego, a siebie nienawidzę. Słyszysz? Nienawidzę!

Zapanowała cisza. Chciała coś powiedzieć, wiedziała że musi to zrobić, ale nie znajdowała odpowiednich słów. Zanim zebrała myśli, on stał już przy drzwiach. Wychodząc, powiedział:

– Nie martw się o mnie. Takim jak ja nic złego się nie dzieje: pewność siebie i stanowczość chronią ich przed tym. Tak będzie najlepiej dla nas obojga. Najwyższa pora, żebyś sobie uświadomiła, że nie jestem już małym chłopczykiem, któremu można wszystko wmówić. Czas rozpocząć życie na własny koszt.

Wyszedł. Jeszcze tylko trzask zamykanych drzwi i... nic. Pustka. I cisza. Po raz pierwszy jednak tak niemiłosiernie bolesna, jakby wrywająca coś z jej wnętrza. Z trudem próbowała nadać swoim myślom kształt, jakąś formę. W końcu udało jej się zlepić z tego wewnętrznego bałaganu coś spójnego. Pomyślała: „Jesteś... Jeszcze do mnie wrócisz, wiem to. Bo jesteś... I wrócisz do mnie tak, jak wracają do nas niektóre dziecięce marzenia. A wtedy już zostaniesz na zawsze i... i będziesz... Do końca...”

Był mokry letni wieczór, jego niespodziewana, przedwczesna o tej porze dnia szarość niosła w sobie coś dziwnie niepokojącego, przypominając mu ich rozstanie. Siedział w samochodzie już od ponad czterech godzin, kierując się w stronę miasta Giga, i myślał nad tym, co zrobił przed kilkunastu laty. I myśl ta dręczyła go. Już jakiś czas temu dotarło do niego, jak dużym był sukinsynem i jak bardzo ją skrzywdził. Nie wiedział, czy da się coś jeszcze tutaj naprawić, czy on będzie mógł coś zmienić, ale był pewien jednego: że musi tutaj wrócić.

Minął właśnie jakiś przydrożny motel, gdy nagle, w szarym świetle odchodzącego dnia i wczesnych latarni, wydało mu się, że zauważył na drodze jakąś postać. Zatrzymał się i uchylił nieznacznie okno. Nieznajomy podszedł do samochodu.

– Podrzuci mnie pan? – zapytał. – Uciekł mi autobus do Giga, a następny mam dopiero za ponad godzinę.

– Niech pan wsiada – odparł kierowca. – Ma pan szczęście – właśnie tam jadę.

Nieznajomy zanim wszedł do środka, zdjął nieprzemakalny płaszcz, a następnie, już wewnątrz, przewiesił go przez kolana. Wyglądał bardzo młodo, jednak jego dłonie sprawiały wrażenie dużo starszych, jakby należały do innego człowieka.

Przejechali niewielki odcinek drogi w milczeniu, gdy pierwszy przemówił kierowca:

– Dziwne.

– Słucham?

– Mam wrażenie, że... Pan mi kogoś przypomina.

– Możliwe – odparł nieznajomy. – Pochodzę z tych stron.

– Ja również. Ale przez dłuższy czas nie było mnie tutaj. – Spojrzał na nieznajomego i po dłuższej chwili namysłu dodał: – Ale pan jest tak bardzo młody, że to chyba raczej wyklucza nasze wcześniejsze spotkanie.

– Nie wiem, być może. Ludzie, pomimo wielu różnic, w gruncie rzeczy są do siebie podobni. A niektórzy nawet bardzo ładząco.

Po tym oświadczeniu nieznajomego obaj na jakiś czas zamilkli. W samochodzie słychać było teraz tylko równą pracę silnika oraz coraz bardziej wzbierającą kanonadę deszczu, którego rozwścieczone krople rozbijały się o szyby, nie mogąc dostać się do jego wnętrza. W pewnej chwili pasażer sięgnął do kieszeni spodni po papierosy.

– Zapali pan? – zapytał.

– Dziękuję. Jakiś czas temu rzuciłem. Paskudny nałóg. Wolę nie wracać.

– Szczęściarz z pana.

– Słucham?

– Mówię, że szczęściarz z pana że pan rzucił.

– Pan też może.

– To nie takie łatwe.

– Wszystko jest trudne dopóki nie stanie się łatwe. Ale żeby takie właśnie się stało zależy od nas samych. Może zbyt słabo i krótko pan próbował.

Nieznajomy wzruszył ramionami.

– Może – powiedział i następnie zapalił papierosa. Zaciągnął się, po czym dodał: – To chyba słabość charakteru. Gdyby było inaczej prawdopodobnie dawno już rzuciłbym to świństwo.

– Jeszcze pan rzuci. Potrzeba tylko czasu i odpowiednich okoliczności.

– Mówi pan jak jakiś pieprzony nauczyciel.

– Przepraszam że to tak zabrzmiało, nie chciałem. W końcu sam nie byłem święty i narobiłem w swoim życiu wiele głupstw.

– Przed nimi raczej nie da się uciec. Zawsze człowiek je popełnia.

– To prawda, niestety. Takie czy inne, ale zawsze nam towarzyszą.

– Może gdyby człowiek miał szansę przeżycia życia jeszcze raz, ale bogatszy w owe doświadczenia, to by ich nie popełnił.

– Tylko że to raczej niewykonalne – zauważył pasażer.

– Właśnie – zgodził się z nim kierowca, po czym ponownie obaj zamilkli.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu. Widać było, że obaj mieli, przynajmniej w tym momencie, dosyć rozmowy. Cisza, która wypełniała teraz samochód, była czymś nie tylko pożądanym, ale i jakby czymś niezwykłym, więc starali się ją uszanować. Tak dojechali do stacji benzynowej.

Wewnątrz, przy oknie, siedział niemłody już mężczyzna, tępo wpatrując się w ciemność nocy. Na widok samochodu ciężko wstał i niespiesznie wyszedł na zewnątrz. Można się było domyślić, że ich widok musiał wyzwolić w nim nieprzyjemne uczucia. Jego ruchy, kiedy tankował *toyotę*, nie były szybsze niż bieg żółwia. Po zainkasowaniu należności z niewielkim napiwkim, człowiek ten, jakby chodzenie sprawiało mu przykrość, wrócił na swoje miejsce w budynku, a oni ruszyli w dalszą drogę.

– Nareszcie! – powiedział kierowca i znacząco klepnął się w czoło. – Już wiem, skąd pana znam: z telewizji! Oglądałem kiedyś taki film, w którym głównego bohatera prześladowa ogromny pech...

– Jest pan w błędzie – przerwał mu nieznajomy. – Nie mam nic wspólnego z filmem.

– ...nic mu się nie udaje. To doprowadza go do szaleństwa: próbuje popełnić samobójstwo. Ale i ono też mu się nie udaje. Zaraz – zaraz, główną rolę grał... Chryste!, jak mogłem zapomnieć. Oczywiście, główną rolę grał...

– Powiedziałem, że myli mnie pan z kimś innym – odparł spokojnie podróżny. – Chociaż w jednym ma pan rację: każdy z nas jest jakimś aktorem. Raz lepszym, innym znów razem gorszym. A ten, który lepiej odegra swoją rolę, ma po prostu łatwiejsze życie.

Mimo słów nieznajomego, kierowca nie dawał za wygraną.

– Wierzy pan w przeznaczenie? – zapytał.

– Przeznaczenie? – powtórzył obojętnie pasażer. – Prawdę mówiąc, nie wiem, co o tym myśleć. Gdyby jednak któregoś dnia moje drugie „ja”, przypuścmy, oddzieliło się ode mnie i rozpoczęło odrębne życie, to myślę, że wówczas mógłbym coś na ten temat wiedzieć. Dzisiaj moja wiedza w tym zakresie, niestety, jest żadna.

Kierowca pokiwał głową.

– A przypadek? – zapytał.

– Co – „przypadek”?

– No, czym on jest?

– Przypadek...? Czy ja wiem...? Może... może jest właśnie przeznaczeniem... – Nagle urwał. Widać było, że się

nad czymś zastanawia; kierowca jednak nie naciskał, cierpliwie czekając na ciąg dalszy. Po dłuższym namyśle w końcu dodał: – Chociaż wątpię, aby akurat ten cholerny krzyż był przeznaczeniem Chrystusa. Nie, to jednak nie jest przypadek. Przeznaczenie, to na pewno coś innego.

Słowa przybysza były mętne i kierowca nie wiedział, co o nich myśleć. Jego argumentacja była tyleż dla niego niespodziewana i niezrozumiała, co i niezmiernie pokrętna. Dlatego też nic nie odpowiedział na jego słowa. Spojrzał na zegarek: dochodziła dwudziesta pierwsza trzydzieści pięć. Zbliżali się do zakrętu, więc nieznacznie zwolnił, a następnie skręcił w lewo, po czym ponownie zwiększył prędkość. Za oknami samochodu wszystkie oświetlone i dostrzegalne obiekty, rozpływały się na jego szybach w kroplach bezustannie padającego deszczu.

– Jak tak dalej pójdzie, to jeszcze przed dziesiątą będziemy w Giga – powiedział i spojrzał na pasażera, który starał się cokolwiek dojrzeć zza szyb rozpędzonego auta. Lecz widząc beznadziejność tych prób, ostatecznie z tego zrezygnował.

– Szybko pan jeździ – zauważył pasażer. – Nie za szybko? I tak pan zdąży i zawsze będzie przed piechuram.

– Boi się pan? – odparł kierowca.

Nieznajomy nie odpowiedział. Jakby nie słyszał pytania, albo też nie chciał na nie odpowiadać. Dlatego kierowca ciągnął dalej:

– Lubię ryzyko. Zawsze lubiłem. To jest ta niewiadoma, która zastępuje mi niejako inne przeżycia.

– Wydaje się panu, że jest pan dojrzały, że zna pan życie i nic panu nie grozi, bo uniknął pan niebezpieczeństw w młodości, tak? Ale to nieprawda. To jedynie złudzenie.

– Może. Staram się nad tym nie zastanawiać.

– A może jednak pan powinien?

– Po co pan mi to mówi?

– Bo może... Czasami warto się nad tym zastanowić i niepotrzebnie się nie narażać.

– Mówiłem już panu – lubię ryzyko i...

Nie dokończył. W tym momencie samochód wpadł w poślizg, a prowadzący go stracił nad nim panowanie. Po kilku rozpaczliwych, lecz daremnych próbach wyjścia z niego, wóz wypadł z drogi i uderzył w przydrożne drzewo. Przez rozbite szyby do środka począł wdzierać się natarczywie deszcz. Wewnątrz, oprócz kierowcy, nie było nikogo, a z jego ust dało się słyszeć ostatni, niezrozumiały cichy szept, który zagłuszany nieprzerwanie trwającym płaczem pękniętego nieba, odpłynął wraz z nim w nieprzeniknioną wieczność.